

Atak UPA na Puźniki w 1945 wg wspomnień Zbigniewa Szczupaczyńskiego

Publikujemy wspomnienia Zbigniewa Szczupaczyńskiego dotyczące ataku UPA na Puźniki w roku 1945, będące kontynuacją wspomnień przedstawionych we wcześniejszym artykule „[Puźniki 1939-1944](#)” i stanowiące tylko fragmenty obejmujące same Puźniki. Prezentowane poniżej wspomnienia tragicznej nocy z 13 na 14 lutego 1945 autora odnoszą się wydarzeń mających miejsce w Klukowie, które były przysiółkiem Puźnik.



Nowy rok 1945

Zbliżał się nowy, 1945 rok. Zapamiętałem północ sylwestrową. Nowy rok przywitaliśmy wyjątkowo radośnie, licząc na jego przychyłność włącznie z końcem wojny. Kto miał broń palną, raketnicę – oddawał salut powitalny na część nowych nadziei i lepszych czasów. Te strzały, a szczególnie rakiety wystrzeliwane w powietrze były dla okolicznych wiosek ukraińskich dowodem, że Puźniki dysponują siłą i są gotowe do odparcia każdego ataku.

Warty

Ale były to jedynie pozory. Prawda była inna. Wielu mężczyzn uchyliło z rodzinnych domów. Jednych NKWD aresztowało, innych powołano do wojska. Obrona pozostała w rękach starszych panów i „młodzieńców”. Wieś przeto została poważnie osłabiona i obowiązkiem każdego, kto mógł udźwignąć karabin, było w jakiegokolwiek formie brać udział w czuwaniu i ewentualnej obronie. Zorganizowano kilka punktów obserwacyjnych połączonych w jeden system alarmowy.

Mój udział w tym łańcuchu działań zapobiegawczych był skromny. Wraz z innymi dwa razy w tygodniu obserwowaliśmy przedpole Klukowa oraz drogi wiodące do Puźnik. W tym celu wchodziliśmy na „horb”, czyli na wzniesienie zwane z ukraińska „horbem”, i tam wypatrywaliśmy wroga. Najprzyjemniejsze dyżury były nocą, szczególnie gdy księżyc oświetlał śniegiem przykrytą ziemię. Bawiliśmy się w zimowy sposób przez całe godziny swojego dyżurowania. Mroźny blask księżyca podkreślał piękno krajobrazu, który zachęcał nas do sportów zimowych.

Aby jednak sumiennie pełnić swoje dyżury, nie tracąc ani na chwilę z pola widzenia naszych sektorów, tworzyliśmy rotację, jedna grupka obserwowała, druga zjeżdżała w dół do Potoczka. Po dwóch, trzech zjazdach następowała zmiana. Takie zmiany pozwalały nam nie tylko rozkoszować się zjazdami (na sankach, nartach), ale jednocześnie dawały możliwość przy wejściu na górę – rozgrzania się. Przecież była to zima z niskimi temperaturami. Dla nas młodych były to najpiękniejsze igraszki zimowe, chociaż w scenerii karabinu.

Tak w ciągłym wyczekiwaniu upłynął nam styczeń. W lutym babcia [Genowefa Poterałowicz] zaproponowała, żeby wychodzić na nocleg do cioci Kasi [Katarzyna Komarnicka z d. Poterałowicz]. Z domu babci, w razie napadu, mamy długą drogę ucieczki rowem do lasu. Ciocia mieszkała trochę na uboczu, pod osłoną skarpy z jednej strony i bliżej lasu, a zabudowania położone były tuż nad wąwozem.

Zacząła się wędrówka. W każdy wieczór wychodziliśmy z domu do cioci, pomimo że przy takiej ilości osób wygod tam nie było. Sypialiśmy na podłogach, jak śledzie w beczce, w ubraniach, zdejmując jedynie buty. U cioci na noclegi zbierała się cała rodzina i niektórzy mieszkańcy Klukowa. Bywały noce, że oprócz domowników na nocleg zgłaszało się dwadzieścia osób dodatkowo. Tak długie czuwanie i niewygody nocą trochę nas wszystkich zmęczyły i uspiły. Nawet młodym znudziły się harce zimowe.

Koniec karnawału

Zbliżał się koniec karnawału. Zaczęliśmy organizować u Leszka [Poterałowicza] tańce i ci, którzy byli wolni od dyżuru, przychodzi na tańce. Były to moje pierwsze kroki taneczne, jeżeli chodzi o taniec towarzyski. Przygrywano na grzebieniu, łyżkach, a stół i przykrywki do garnków służyły jako perkusja. Nie mieliśmy nafty. Izbę oświetlaliśmy łuczywem, co było przyczyną dodatkowej uciechy karnawałowej.

Często izba była pełna młodzieży w różnym wieku. Zabawy te zwykle trwały do północy. Po zabawie, gdy do cioci Kasi docierałem, wszystkie miejsca zwykle były już zajęte. Z tego powodu często nie wysypiałem się i po nocy, po powrocie do domu, odsypiałem swoje braki.

Trzynastego lutego kończył się karnawał i kończył się czas zabaw. Zakończenie karnawału zorganizowaliśmy jak zwykle u Leszka. Rozgrzaliśmy kuchnię, do popiołu drzewnego wsypaliśmy sporą ilość ziemniaków, ktoś przemycił trochę samogonu i rozpoczęła się zabawa na sto dwa. Bawiliśmy się (nie tylko tańcem) do prawie dwunastej.

Środa Popielcowa

Kiedy po zabawie dotarłem do cioci, była już Środa Popielcowa, zaczął się dzień 14 lutego 1945 roku. Jak w każdą noc, położyłem się obok innych śpiących już osób, zdejmując jedynie trzewiki, kurtkę i marynarkę, i natychmiast zasnąłem, a może jeszcze szybciej. Dobrze już spałem, gdy nad śpiącymi ktoś wykrzykiwał: banderowcy... uciekać do lasu.

Ktoś inny zaczął mnie tarmosić i krzyczeć: wstawaj i uciekaj... Zerwałem się z podłogi półprzytomny nie wiedząc, co mam zrobić. W izbie powstała panika, jedni usiłowali coś na siebie włożyć, inni wyskakiwali na podwórko, a wszyscy nawzajem ciągle się nawoływali. Usłyszałem głos mamy. Ponagliła babcię do wyjścia. Chwyciłem swoje buty i wyskoczyłem boso na podwórko. Zetknięcie z zimnym śniegiem otrzeźwiło mnie zupełnie. Buty trzymając cały czas w ręku nałożyłem na bose, mokre nogi.

Łuny palącego się Klukowa i ryki zwierząt przeraziły mnie tak bardzo, że nie mogłem poradzić sobie z zasznurowaniem swoich butów. Sąsiednie domy już się paliły, a w ogrodach widać było poruszających się bandytów, niektórzy z nich biegli w naszą stronę z palącymi się pochodniami. Z naszego podwórka strzelano z broni strzeleckiej. Kilka osób osłaniało naszą ucieczką do wąwozu i dalej w las. Nawoływano do pośpiechu, a ja nadal nie mogłem sobie poradzić przy sznurowaniu trzewików.

Na podwórku ciągle jeszcze słyhać strzały naszej osłony, chociaż swąd palących się domów wraz z dymem dolatywał do nas coraz mocniej. Ktoś mnie mocno pchnął w kierunku wąwozu i gdy znalazłem się już w wąwozie odzyskałem w pełni

zdolność oceny sytuacji. W wąwozie stwierdziłem, że nie byłem sam. Niektórym mieszkańcom Klukowa udało się dotrzeć do nas i razem ruszyliśmy w dół w kierunku lasu. Niektórzy dźwigali swoje „majątkości”, wykazując potworne zmęczenie. Uciekaliśmy, aby jak najdalej znaleźć się od pożarów, od zagrożenia. Rozbiegały się rodziny, każdy schronić się chciał jak najskuteczniej i każdy schronienie to organizował na własną rękę.

Groźące niebezpieczeństwo często odbiera ludziom rozsądek i możliwości trzeźwego myślenia. Widziałem to w czasie tej ucieczki i sam tego doświadczyłem. Kiedy znalazłem się już na Kopankach zobaczyłem, że jestem wśród ludzi, ale bez najbliższych. Nie wiedziałem, co mogło się wydarzyć, czy aby wszyscy zdążyli opuścić mieszkanie przed podpaleniem? Dopiero po chwili ujrzałem mamę biegnącą razem z babcią. Obie były zmęczone. Staruszka nie nadązała i mama ją prawie ciągnęła.

Ukryć się przed banderowcami

Grupa ludzi, oszalałych ze strachu, powiększała się. Ciągłe ktoś do nas dołączał. Za nami rozprzestrzeniała się łuna palącego się już domu cioci Kasi. Z wąwozu na Kopankach widoczne było niebo gorejące, niebo we wszystkich czarnych cieniach. Zaczęliśmy się nerwowo naradzać i szukać kryjówek.

Dołączył do nas jeszcze Janek [Działoszyński], syn cioci Działoszyńskiej. Był zmarznięty. Uciekł w jednej cienkiej wiatrówce, która w żadnym razie ogrzać go nie mogła. Ja chociaż miałem ciepłą marynarkę, a on był prawie nagi. Postanowiliśmy, że babcia razem z innymi podąży dalej do lasu, my zaś wdrapiemy się po skalistym stoku do młodnika grabowego. Skala w nocnej poświacie wyglądała jakby wisiała z lewej strony nad wąwozem. Co nas skłoniło wdrapywać się na nią? Racjonalnie uzasadnić nie potrafie. Wdrapując się na górę musieliśmy pokonać zwisy śniegowe i zamiast zatrzymać się w połowie na tej skale i zagrzebać się w śniegu, brnęliśmy dalej bez zastanowienia.

Gdy znaleźliśmy się w zagajniku wyszukałem stary szaniec zasypany śniegiem, w którym z łatwością urządziliśmy sobie „gniazdko”, przysypując się śniegiem. Na górze okazało się, że jest nas czworo. Za nami poszła córka sąsiadów, Bronka [Przybyłkiewicz], która jeszcze wczoraj partnerowała mi na zabawie. Mama w ostatniej chwili zabrała koc, który okazał się teraz być niezbędnym. Wszyscy przytuleni do siebie, owinięci kocem i mamy jesionką, i przykryci śniegiem

leżeliśmy bez ruchu.

Poczułem zmęczenie i senność, a po krótkim czasie potworny ziąb. Przez cały czas dolatywały do nas odgłosy strzałów oraz swąd dymu. Leżeliśmy w tym okopie nie wiadomo jak długo, bojąc się poruszyć i rozmawiać. W pewnym momencie usłyszeliśmy zbliżające się, coraz wyraźniejsze odgłosy prowadzonych rozmów w języku ukraińskim, a po chwili nawet skrzywienie śniegu słyhać było bardzo wyraźnie. Wesoło opowiadali sobie, przekrzykując się nawzajem, swoje sukcesy... ilu który zabił, ile zagród podpalił... Zamarliśmy ze strachu, a zęby mi tak dzwoniły, że byłem pewny, że jeżeli przestaną głośno mówić, to dzwonięcie moich zębów banderowcy usłyszą.

Wybór miejsca na schronienie był fatalny. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że tak niedaleko przebiega droga, którą banderowcy będą wracać do swoich ciepłych i bezpiecznych domów po wykonaniu zbrodniczego zadania. Przeżyliśmy ciężkie chwile słysząc ich rozmowy. Odetchnęliśmy, gdy głosy te zaczęły się oddalać i z czasem umilkły. Siedzieliśmy nadal zlodowaceni, bojąc się poruszyć. Przejmujące zimno dokuczało nam coraz okrutniej. Tej nocy mróz przekroczył dwadzieścia stopni, a my półnaczy siedzimy w bezruchu zapaprani w śniegu.

Świt i zgliszcza

Strzały ucichły, łuny widoczne z naszego miejsca coraz słabsze, a przez rzadkie już dymy zaczyna świtać. Postanowiliśmy zejść do wąwozu. Na prawo, w dole dogorywał Kluków i cioci zabudowania. Zjechaliśmy po śniegu do wąwozu. Ludzie powoli wychodzili ze swoich kryjówek i zaczęli się gromadzić w wąwozie. Każdy badał z wielką ostrożnością teren, czy nie ma już zagrożenia. Jeden drugiego wypytuje o bliskich, znajomych. Rozgrzewamy się bieganiem, tupaniem, ale niewiele to pomaga. Ciało wyziębione niełatwo jest ogrzać. Decydujemy się wracać do Klukowa. Jeszcze nie wiemy, nie znamy finału nocnego polowania...

Dziś jeszcze wspominając tę noc, skóra mi cierpnie na grzbiecie. To była potworna noc. Ile to już razy byłem w śmiertelnym zagrożeniu i ile nacierpiałem się zimna, głodu i strachu, a przecież nie byłem żołnierzem walczącym na froncie, nie brałem udziału w walkach partyzanckich. Niech każda wojna i każdy, kto ją wznieca – będą przeklęci.

Nieśmiało i z wielką ostrożnością wracaliśmy wąwozem do swoich domostw. Woń

spaleniżny biła w nozdrza. Pierwsze pogorzelisko, jakie ujrzałem, to zabudowania cioci Kasi, które przed kilkoma godzinami opuszczaliśmy w popłochu. Spłonęło wszystko, nawet oddalona od zagrody suszarnia tytoniu. Wujek Komarnicki [Władysław] przed ucieczką zdążył wyprowadzić wszystkie zwierzęta, które teraz błąkają się po ogrodzie.

Kiedy doszliśmy do Klukowa, wtedy dopiero doznałem morza smutku i rozpacz. To co zobaczyłem, było już tylko obrazem zgliszcz. Tu nie zdążono uwolnić żywego dobytku, ba, nie wszyscy mieszkańcy sami zdążyli ująć śmierci. Pod mostem kilka ciał pomordowanych, a wśród nich dziadek Anieli Krzywoń - bohaterki spod Lenino. W oborach zwęglone konie, krowy, a niektóre jeszcze się męczyły na uwięzi. Moje króliki, które przez przypadek nie utonęły w Dniestrze, doznały ciężkich poparzeń, a niektóre oślepyły. Żał mi było zwierząt i nie wstydzilem się tego, żałowałem ich więcej niż ludzi, chociaż już w owym czasie często rozmyślałem nad niezrozumiałą dla mnie ludzką śmiercią.

Dom babci dogorywał. Kikut komina górował nad czarnym rumowiskiem. Wpadłem, nie bacząc na niebezpieczeństwo zawalenia się do wewnątrz. W naszej izbie wszystko spłonęło, a pośrodku trochę gruzu sufitowego i trochę zwęglonego zboża. Jediną rzeczą nadającą się jeszcze do użytku w tych zwęglonych szczątkach, to samotnie wiszący na ścianie mój śniadaniowy garnuszek, ze złotą otoczką i z napisem, że w każdym domu rano pije się kawę. Był cały, jedynie złote napisy zbladły.

Dotarłem do miejsca, w którym stała komoda przywieziona z Niżniowa. Z komody i jej zawartości jedynie garstka popiołu pozostała. Nad komodą wisiał obraz Kossaka, wierna kopia „Olszynki”. Pozostał jedynie zaczep na gwoździu. Najbardziej ubolewałem nad stratą dokumentów i pamiątek rodzinnych, a szczególnie pamiątek po moim ojcu. Nawet muszla morska, którą mi ojciec przed laty przywiózł z Gdyni i z wewnątrz której szumu morza nadsłuchiwałem, nie wytrzymała ognia. Popękała i pozostały jedynie okruchy. Zdjąłem ze ściany garnuszek i ostrożnie wyostałem się z tych zgliszcz.

Stanęliśmy z mamą przed spalonym domostwem pogrążeni w apatii, bez wizji dnia jutrzejszego. Takich obrazów nie da się zapomnieć, one zapadają człowiekowi w serce niczym rozległy, piekący ból zawałowca. Do Klukowa coraz więcej mieszkańców docierała do swoich zgliszcz i coraz więcej docierało do nas wieści, kto zginął, kto gdzie się skrył. Zjawiała się wreszcie oczekiwana babcia wraz z

wujenką Lidzią [Poterałowicz]. Pamiętam, że wśród wszystkich rozpaczających jedynie babcia była jakby obojętna i pocieszała nas, że Bóg tak chciał, że mogło być gorzej, a wy jeszcze jesteście młodzi i wszystko odbudujecie. Pierwsza wojna, mówiła, także wszystko pochłonęła, zostałam z siedmiorgiem dzieci pod gołym niebem i dzięki Bogu poradziliśmy sobie. Teraz również winniśmy Bogu dziękować, że żyjemy. Zapamiętałem te słowa.

Ofiary i pogrzeby

Poszliśmy dalej do wioski, szukając pozostałych bliskich i ocalałego domu, w którym można by było się schronić przed zimnem. Ludzie chodzili jak lunatycy, nawet mało kto płakał. Wszyscy byli przerażeni i nawiedzeni głębokim smutkiem. Znoszono ciała ofiar. Niektóre były w przerażającym stanie. Byli też i ranni, którym udzielono pierwszej pomocy. Ci, którzy pozostali przy życiu, jeszcze tego samego dnia zorganizowali pogrzeb.

Wszystkie ofiary pogrzebano w dwóch mogiłach na cmentarzu Puźnieckim. Pośrodku mogiły postawiono, naprędce zbite drewniane krzyże, które ponoć do dziś stoją na mogiłach, w których spoczywa ponad 70 osób ofiar napadu. Ceremonia pogrzebu odbyła się w ciszy, bez płaczu i lamentu, co ponownie pobudziło moje rozmyślanie. Długo zastanawiałem się, jak to jest, że ludzie po jednym zmarłym rozpaczają głośno płacząc, omdlewają, ale gdy giną setki – pozostali przy życiu nie lamentują. Swoją rozpacz, swój żal przeżywają w ciszy i w skrytości. Dziś myślę, że w takich chwilach jesteście poniekąd uspokojeni, że ten los ofiar nie spotkał nas, że nie my staliśmy się ofiarami chociaż byliśmy tak samo narażeni. Tu zwycięża ludzki egoizm.

Po pogrzebie mieszkańcy zaczęli się gromadzić w domach, których nie spalono. Niewiele tych budynków oszczędzono. Nienaruszone budynki, takie jak szkoła i probostwo mogły pomieścić większą ilość ludzi i tam zorganizowano punkty zbiorowego żywienia, zajęto się sprawami tych, którzy pozostali przy życiu. Byliśmy bez perspektyw, ale żyć trzeba. Ale zanim coś się postanowi, każdy z żyjących otrzymał solidny obiad ugotowany przez gospodynie. Mięsa było w brud. Dobijano krowy, świnie i inne pomniejszych zwierzęta domowe, które ucierpiały w pożarach. Nikt nie pościł w Środę Popielcową. W czasie posiłku ludzie w przyciszonych rozmowach dzielili się wrażeniami, każdy opisywał co przeżył i co widział, wspomniano też tych, którzy zginęli.

W przeciągu trzech miesięcy przeżyłem w potwornym strachu, raz walcząc z wodą i drugi raz walcząc ze śniegiem w czasie ucieczki. Banderowcy na Puźniki napadli ze wszystkich stron równocześnie po północy. Jeżeli napotkali na opór w jednym miejscu, szukali dojścia do wioski w innym. Wszystko, co żyło i ruszało się było dla nich celem. Zabijali czym w co był uzbrojony, strzałem z broni strzeleckiej, siekierami, nożami, nawet kołami. Część z tych siepaczy szli od domu do domu i podpalali.

W niektórych miejscach Polacy długo się bronili, a np. na probostwie bronili się skutecznie, odpierając atak za atakiem. W tej obronie widziano też ofiary po stronie atakujących, ale przy odstępianiu, banderowcy swoich zabitych i rannych zabierali.

Uratowane niemowlę

Szeroko komentowano, jak jeden z mieszkańców w ostatniej chwili chwycił niemowlę z kołyski i wybiegł z nim w pole. Tam został trafiony pociskiem i padł razem z dzieckiem. Rano gdy go znaleziono, usłyszano płacz dziecka. Denat leżał twarzą do ziemi, podparty łokciami, a pod jego kożuchem, pod klatką piersiową, w ciepłym gniazdku kwiliło dzieciątko. Ile silnej woli musiał mieć przed skonaniem, że padając na twarz, aby nie udusić dziecka, upadł na zgięte w łokciach ręce i w tej pozycji zastygł. Dziecko płakało rano bardziej z głodu niżli z zimna i niewygód. Po obiedzie znalazłem w jednej z klas szkolnych cichy kąć, owinąłem się kocem i zasnąłem. Od tej pory nic więcej nie pamiętam.

Maria Jarzycka

[...]. W lutym 1945 r. w Zalesiu zamordowano kilka osób z Puźnik. Pamiętam, że z tej grupy ciężko ranne przeżyły dwie kobiety, w tym koleżanka mojej mamy Maria Jarzycka, która ciężko ranna (kilka ran postrzałowych) dowlokła się do domu pozostawiając w Zalesiu martwą 10-letnią córkę. Rozpacz matki po stracie jedynej córki nie wygasła przez całe jej życie. Ile razy odwiedzała w Niemysłowicach moją mamę, zawsze wspominała swoje dziecko ze łzami w oczach. Była nieszczęśliwą kobietą przez całe życie.

W 1945 r. w Koropcu, już po spaleniu Puźnik, w czasie leśnej obławy złapano dużą ilość banderowców. Jarzycka rozpoznała wśród nich jednego z tych, którzy strzelali do niej i do jej córki. Zapytano ją, jaką karę mu zasądza, a każda zostanie

wykonana. Wielu w tym czasie wieszano bez sądu, dla odstraszenia. Jarzycka odpowiedziała na tę propozycję, że nie ona go sądzić będzie, niech go Bóg sądzi. Jeszcze tej samej nocy, dzięki zdradzie wartownika aresztu, razem z innymi oprawcami i ten złoczyńca uciekł. [...]

Czas wyjazdu

Nie pamiętam, jak długo spałem i kiedy zdecydowano się na wyjazd z zaścianka. Nawet nie zachowałem w pamięci spalonych budynków w środku wioski. Pamiętam jedynie spalony Kluków. Może dlatego Kluków utrwalił mi się w pamięci, ponieważ byłem z nim emocjonalnie związany, tam w popiołach pozostała nasza tożsamość.

Sięgam pamięcią dopiero do dnia, w którym wyszliśmy z zaścianka w drodze do Buczacza. Całą społeczność podzielono na dwie grupy. Jedna grupa udała się do Koropca, druga do Buczacza. Nasza cała rodzina została skierowana do Buczacza. Szliśmy w nieznane opuszczając miejsce, w którym przeżyło wiele pokoleń moich przodków, których kości spoczywają na tutejszym cmentarzu. A przecież jeszcze kilka dni temu tętniło tu życie, które kształtowane było przez wiele pokoleń. Dziś z mozolnej ich pracy pozostają ruiny i garstka popiołu.

Po latach docierają do mnie wiadomości, że już nawet ruin nie ma, wszystko zarosło krzewami, sady zdziczały, drogi zanikły, a cała okolica wcale nie przypomina, że tam kiedyś żyli ludzie ze swoimi radościami i troskami. Pozostała jedynie kapliczka Matki Boskiej w Kamiennej jaskini. Mnie zaś często nawiedzają sceny ostatniej nocy: zimno, dymy, sterczący w ruinach komin i te przerażające odgłosy dochodzące ze spalonych obór.

Droga do Buczacza

Podróż do Buczacza była smutna i ciężka. Grupa nasza, którą stanowili członkowie kilku rodzin, była liczebnie dość pokaźna. Towarzyszyła nam jedynie furmanka, ta sama z której spadłem do Dniestru. Jarzycki ze swoją rodziną razem z nami podążali do Buczacza, w którym tylko nieliczni mieli znajomych, u których mogą się zatrzymać, pozostali liczyli jedynie na łut szczęścia, że znajdą jakiś dach nad głową.

Droga obfitowała w duże zaspasy i nasza karawana poruszała się dość wolno.

Pamiętam smutno - zabawne zdarzenie z tej podróży. Babcia moja, 69-letnia już kobieta, zmęczona, niefortunnie potknęła się i upadła. Ktoś jej pomógł wygrzebać się z obfitego śniegu i dalej nadal kroczyliśmy po tej nierównej drodze. W pewnym momencie babcia stanęła i woła: Dzieci moje, niech ktoś wróci, bo przy upadku zgubiłam rękę. Trzeba było babci perswadować, że ręka jest na miejscu, tylko z zimna straciła w niej czucie. Babcię wsadzono na wóz, owinięto kocem, ciągle tym samym, i mogliśmy maszerować dalej. Po kilkugodzinnym marszu, późnym wieczorem, dotarliśmy do Buczacza.